

Natałka

B A B I N A

B O D A J
B U D K A



REBIS

Natałka
B A B I N A

B O D A J
B U D K A

KTOŚ CICHY MILCZY W CIEMNOŚCI

Przełożyła
Anna Korzeniowska-Bihun



DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Motto

Dedykacja

Przydenne życie bezgłośnych

Nie ciskaj kamieniami, Boże

Rzucaj ziarna wiadomości

Budka

Ty myślisz, że prawda rodzi język?

Ja myślę, że język rodzi prawdę.

Ł.U.

*Mariji Sierhuc i Pełazce Panasiuk – kimkolwiek by były i jakiegokolwiek by
były*

Przydenne życie bezgłośnych

Długo wahałam się, jak i od czego zacząć tę historię.

Może od momentu, gdy znalazłam moją drogą Oksanę w tak opłakanym stanie?

Albo od tego największego w życiu, śmiertelnego, mrozącego krew w żyłach strachu, który odbiera władzę w rękach i nogach, a który czułam, obserwując desant Antygomów?

Albo od chwili, kiedy nagle odzyskałam przytomność w „matce miast ruskich”, trafiając do redakcji dużej kijowskiej gazety, gdzie próbowałam znaleźć pracę, nie mając pojęcia, jak się tam w ogóle dostałam?

Albo od tej długiej, bodaj najdłuższej na świecie sekundy, kiedy to przeżyłam miłość, której nie spodziewałam się już przeżyć w swym nie tak przecież młodym wieku?

Sama nie wiem. Niesamowita ta historia, raport z przydennego mułu – z zatoki, gdzie od czasu do czasu z dna wynurzają się ogromne bańki, w imieniu i z upoważnienia tych, którzy nie potrafią mówić, raport o żarciu i przynęcie, o tym, jak się nie dać złapać na haczyk – reportaż-notatka z prologiem i epilogiem, z morałem i z amoralnością, szepty i krzyki sumów i jazgarzy, dzikich sazanów i udomowionych karpiańek, kijanek i traszek – ta niesamowita historia rozpoczęła się również wtedy i dlatego, że nie wychodziła mi powieść.

W tym miejscu startuję.

A więc pewnego miłego, cichego popołudnia w miesiącu lipcu bieżącego roku...

Nie ciskaj kamieniami, Boże

...oderwałam się od kompa, zdjęłam okulary, przetarłam oczy i spojrzałam przez otwarte okno. Z piętra rozciąga się cudowny widok na nasz las. Na leciutkim wietrze chwojki¹ delikatnie poruszają gałązkami o subtelnie zielonym odcieniu, wokół roztaczają się piaski pokryte siwym mchem islandzkim, gdzieś tam przebijają się ciemnozielone świeczki jałowców. To nasze Dobratycze, stara leśna wioska, z której dziś pozostało kilka chat, ożywających jedynie latem – Brest region, Belarus.

Nastrój miałam kiepski.

Nie byłam zadowolona ani z siebie, ani z tekstu, który mi wychodził. A właściwie nie wychodził. Był dla mnie bardzo ważny, czasem nawet wydawało mi się, że jest to najważniejsza rzecz w moim generalnie dość bezsensownym życiu. Tekst prawie wydzieralam z siebie, nie miałam poczucia, że wypływa potokiem jak czysta woda ze studziennego wiadra. Nie zaczepia, nie kąsa, nie chwyta za serce, nie wali w splot słoneczny. Nie potrafię – cóż za gorzka myśl – poruszyć serc przyszłych czytelników. Znów nasadziłam na nos swoje kółka i skierowałam wzrok na monitor.

Dziadek był odrażający, ale nie przerażający. Twarz blada, blizna od cięcia szabłą, jedno oko wybite. Nigdy się nie golił, rzadko strzygł, cesał się od wielkiego dzwonu, a wszy łączyły po nim bez skrępowania. Teraz właśnie siedział na maleńkim stołeczku koło rozpalonego pieca i patrzył, jak dochodzi kasza z prosa. Natałka natomiast leżała na przypiecy² i spoglądała raz na dziadka, raz na cielątko. Wcześniej to dziadek cały czas leżał na przypiecy, wstawał rzadko, może tylko, by coś zjeść, wyjść za chatę czy do pszczół, ale kiedy latem najpierw umarł tato, potem brat, a potem mama, dziadek wstał z pieca i zaczął robić wszystko, i spał już teraz na ławie.

Dziadek kruczkiem³ przeczesał grudki żaru, które zaświeciły, zaśpiewały, zamigotały i pokryły się popiołem – lubiły, gdy ktoś ich dotykał. Zza żaru, zza dymu nie czuć było zwykłego mdłego dziadkowego zapachu – zapachu starego człowieka, woni moczu i krowy. Dziwne, dziadek pachnie krową, a cielątko – krowie dziecko – nie. Cielątko jest przepiękne, ma łatkę na czole i Natałka bardzo się cieszy, że dziadek wziął je na noc do chaty.

Natałka słyszała, jak w lecie dziadek mówił młynarzowi, że ona, Natałka, jego wnuczka, zginie jak mucha na mrozie. Nie rozumiała, czemu miałyby zginąć, ale czekała na zimę z lekkim strachem. I proszę bardzo, minęła Pokrowa, przyszedł Święty Łuka, zaczął się post, a wczoraj, na Świętego Andrija, mocno się ochłodziło i spadł śnieg. Muchy zginęły, ale z Natałką nic złego się nie stało. Tylko ręce jej od śniegu drętwieją i nogi marzną, i to wszystko. Ale żadna choroba jej się nie czepia, nie.

Natałka trochę się uspokoiła. Tym bardziej że ma teraz cielątko, takie śliczniutkie!

A czym jest choroba i jak się ona zaczyna, Natałka dobrze wie. Kiedy tato ostatni raz spławił tratwy, jak zawsze obiecał Natałce przywieźć gościniec z Gdańska. Ale kiedy wrócił, ani gościńca, ani nawet zajęczego chleba⁴ z sobą nie miał. Był blady i od razu się położył. Szarpał nim kaszel, gonił żołądek i torsowało go. Po dwóch dniach zaczął się dusić i umarł. Natałka tak płakała, tak płakała na cmentarzu, kiedy go chowano... a jak wróciła do domu, brat położył się na ławie i zasnął. A obudził się od tego, że trzęsa nim gorączka, i od tego, że mamę torsowało. Potem Natałka przez jakiś czas bała się zasypiać, bo myślała, że też zachoruje we śnie albo obudzi się, a dziadek będzie chory. Ale ani jej, ani dziadka choroba nie wzięła. Czemu więc dziadek powiedział wtedy młynarzowi, że ona, Natałka, zginie? Natałka gotowa była pomyśleć, że dziadek, przy całej swojej mądrości, tym razem się mylił.

A w ogóle dziadek był bardzo mądry. Wszystko wiedział. Dobrze rachował i Natałkę nauczył. Kiedyś, kiedy dziadek jeszcze nie pracował, tylko leżał, pokazał bratu Natałki, jak się pisze bukwę „A”, czy coś tam.

Napisał ją na śniegu, tylko Natałka chutko⁵ to zapomniała. Zdarza się, że prosi dziadka, by znowu jej tę bukwę pokazał, ale on nie ma czasu. Wtedy dziadek powiedział, że aby czytać, trzeba znać jeszcze dużo innych bukw, ale dziadek zna tylko „A” i wystarczy. Na pewno, postanawia Natałka na przypiocy, trzeba będzie jeszcze raz poprosić dziadka, by pokazał to „A”.

Fakt faktem, nie bardzo wiadomo, kiedy można by to zrobić. Po śmierci mamy dziadek jest wiecznie zajęty i zaganiany. Razem z najmitą i najmitką udało mu się zżąć pole, zwieźć kapustę i dynie, i całą resztę z ogrodu, przed zimą snopkami wyłożyć strzechę, zrobić groblę z igliwia... A młócił, a drwa rąbał i piłował, a chodził za krową, za ptactwem... Raz Natałka widziała, jak dziadek walił głową w uszak⁶. Było to wtedy, gdy bułanek zaczął padać na przednie nogi. Czasem, gdy była głodna, Natałka prosiła o coś do jedzenia, a dziadek krzyczał na nią: „Obżartucha!” albo „Nasram ci do gardła!” i zamachiwał się lejcami lub czym tam miał pod ręką. Ale Natałka wiedziała, że rano albo wieczorem dziadek rozpali piec i ugotuje jedzenie, dlatego cierpliwie czekała. Właśnie teraz czekała na prosianą kaszę, i to jak czekała.

Otwierają się drzwi i wchodzi baba Rajina z Charsów, Natałczyna babcia ze strony mamy Chrystii. Na przywitanie robi znak krzyża:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków! – odzywa się dziadek, podnosząc głowę.

– No i mróz przyszedł! – mówi babcia Rajina, wchodząc głębiej. – A ja już myślałam, że zima będzie letka. Ale nie. A wy jeszcze w piecu palicie? – pyta nie wiedząc czemu, bo przecież widać, że palą.

Natałka od razu się nastroszyła. Niespecjalnie lubiła swoją babcie ze strony mamy. Była za bardzo „co to nie ona”, jak mówił o niej dziadek.

Babcia zdjęła kozuch, zrobiła kilka kroków, zostawiając na polepie ślady śniegu, i siadła na ławie. Za oknem po trochu się rozwidniało. Ponad śniegami wstawał zimowy poranek, rozpalala się zorza.

– Proszę, swaku, przyniosłam wam olej konopny – babcia rozwiązuje węzełek i wyjmuje niewielki dzbanuszek – wczoraj wyciśnięty.

Natałka cieszy się: może dziadek okrasi olejem proso. A może nie okrasi.

Dziadek nie chce gościńca, ale potem przelewa olej do obszczerbio-nego garnuszka. Następnie wyjmuje proso z pieca, stawia na stole, no i okrasza świeżym olejem. Zaprasza babcię Rajinę, woła też Natałkę. Teraz babcia odmawia, i to nawet po dwakroć, ale potem siada do stołu. Natałki drugi raz wołać nie trzeba. Przy stole dziadek rozpytuje babcię, co tam słyhać w Charsach, babcia opowiada, że wszystko Bogu dzięki. Że już zmłócili żyto, że Fedora podarowała cerkwi nową ikonę, którą kupiła w monasterze jabłeczyńskim, że stolarze charsowscy dostali duże zamówienie z kahału beresteckiego, że jej, Rajiny, synowa urodziła chłopczyka...

– Oddajcie mi, swaku, Natałkę. Dopóki synowa, skaranie boskie, chodzić nie może, Natałka będzie mi pomagać. I wam to ulży – nie będziecie musieli jej karmić. Jak człowiek sam żyje, to raz zje, raz nie zje, a o dziecko dbać trzeba. Sześć lat już ma?

Dziadek milczy, opuszcza nieczesaną głowę, a po zastanowieniu odpowiada:

– Pięc. Sześć będzie na Zwiastowanie w przyszłym roku.

– No ot! – cieszy się baba Rajina.

Teraz dziadek spogląda na Natałkę.

– Nie pójdę – mówi ona i łzy spływają jej po policzkach do pustej już miski, którą przysunęła bliżej, by wybrać palcem resztki prosa. Ona nie chce iść od dziadka w obce miejsce.

Ale słońce jeszcze wzejść nie zdążyło, jak już idzie z babą po jej śladach do Charsów. Babcia niesie niewielkie zawiniątko z pustym dzbanuszkiem i Natałczynymi łachami. Natałkę ubrali w sukmanę po zmarłym bracie, rękawy za długie, więc w dłonie jej ciepło, ale poły przeszkadzają, zamiatają śnieg, płączą się pod nogami. Wiatr, na szczęście, wieje w plecy, tak łatwiej iść, ale czasem jego podmuchy są tak silne, że Natałka ma wrażenie, jakby ktoś rzucał jej w plecy kamieniami. Ona wie, co to znaczy. Kiedyś dzieci w Pryłuku rzucały kamieniami w nią i mamusię i krzyczały:

– *Wiedzma! Wiedzma!*

Natałka idzie za babcią, zgarniając śnieg połami sukmany po bracie. Ogląda się – dziadek stoi przy koworocie^z, patrzy w ślad za nią.

...Nie wiedziała wtedy, że widzi dziadka po raz ostatni. I dopiero wiele lat później zrozumiała, dlaczego babcia Rajina zabrała ją do siebie.

W tym momencie warkot samochodu za oknem oderwał mnie od czytania. Nieźle, ale i tak trzeba przerabiać, wzmacniać, za mało przekonujące – przekaz musi być bardziej precyzyjny, nie udaje mi się oddać prawdy i szczegółów z życia siedemnastowiecznych ludzi tak, by były zrozumiałe dla rozpieszczonego lekkością naszego bytu współczesnego człowieka – pomyślałam i skierowałam uwagę na nadwor⁸. O, Łenka przyjechała – Zorza nad Bugiem. Nacisnęłam „zapisz”, kółka z nosa odłożyłam obok klawiatury, by ich potem nie szukać, i zbiegłam na dół przywitać koleżankę.

Łenka Zornycka to moja stara przyjaciółka, do pewnego stopnia moja miłość i natchnienie. Łenka, Oksanka to nasze koleżanki od zawsze. Dla mnie i dla mojej siostry bliźniaczki Ulanki są bliższe niż niejeden bliski. Odwiedziny Łenki – co prawda z czasem coraz rzadsze – były dla mnie jak powiew świeżej bryzy, bosko przewietrzającej mózg i raz za razem zaszczepiającej w nim nowe pomysły. Ucieszyłam się więc, nastrój mi się poprawił. Może i tym razem obecność Łenki rozpali we mnie jakąś światłą myśl, nową wizję? Czy bodaj mam kawę?

Na szczęście kawa się nie skończyła, więc pięć minut później Łenka i ja siedziałyśmy na ganku i popijałyśmy ją z ogromnych metalowych kubków jeszcze z czasów naszego dzieciństwa.

Po wiekopomnej burzy, która zniszczyła wiele rzeczy w naszym regionie, a zwłaszcza chatę naszej babci Mokryny w Dobratyczach, postanowiłyśmy z siostrą ją odbudować. No jak „my”? Siostra postanowiła, bo babcia Mokryna zostawiła chatę w spadku jej właśnie. I choć Ulanka zaproponowała, by w tym – bez wątpienia bliskim memu sercu – Domu wydzielić pokój dla mnie, doszłam do wniosku, że może warto, byśmy jednak mieszkały oddzielnie. Bo wprawdzie jesteśmy bliźniaczkami, i rzeczywiście jest mi bliska zarówno ona, jak i jej rodzina, ale każda z nas ma swoje życie... Im dłużej żyjemy, tym bardziej rozrastają się nasze osobiste krzaki –

i u każdej już kwitną swoimi kwiatami i swoimi kolorami. Każda z nas coraz bardziej po swojemu zaczęła odczuwać czas... A i babcia z jakiegoś powodu zapisała chatę tylko na siostrę, a nie na nas obie... Dlatego w tejże właśnie *myniucie* (tak, tak, *myniucie* – właśnie tak u nas mówią), kiedy siedząc na ganku odnowionej chaty w Dobratyczach, popijałyśmy z Łenką Zorzą nad Bugiem kawę, z uwagą wysłuchiwałam wieści, że kolej sprzedaje Budkę.

A było to tak.

Właśnie dolewałam z kawnika gorącą słodką czarną kawę, gdy zza rogu chaty wyłonił się Stepan Petrukiw – ziemliemier z Pryłuku, człowiek wielce radosny i kochający życie – z jakimiś swoimi ziemliemiernymi przyrządami pod pachą. Zapewne albo szedł do roboty, albo – biorąc pod uwagę jego stan – z tejże roboty wracał. Zobaczył nas, ostro zagiął trajektorię i podszedł do płota.

– Rozkwitały jabłonie i grusze. Prawy Sektor ku brzegowi szedł – odśpiewał na przywitanie, zasalutował tymże swoim ziemliemiernym jakimś przyrządem i poszedł dalej, w kierunku drogi. Kilka sekund później usłyszałyśmy, jak trzasnęły drzwi samochodu, który Stepan najwyraźniej zostawił za krzakiem leszczyny, tam gdzie nasza stara droga stawała się nieprzejezdna. Zawarczał silnik i ziemliemier odjechał.

Właśnie wtedy Łenka odprowadziła go wzrokiem i rzekła po rosyjsku:

– A ty słyszałaś, Ała, że Budkę wystawiono na sprzedaż? Przypomniałam sobie, jak zobaczyłam Stepana. Niedawno opowiadał, że mierzył tam działkę, by można było przygotować dokumenty. Tylko kto ją kupi? Tuż przy torach, bez wygod, bez niczego... Chociaż z drugiej strony, dobre miejsce, czyste, pole, rzeka, las w pobliżu...

(Niezbędne wyjaśnienie. Tak, Stepan i Łenka, jak wielu z nas tutaj, na Berestejszczyźnie, mówią po rosyjsku. Dla Łenki jest to język ojczysty, jej dziadkowie przyjechali do Brześcia z Rosji jeszcze w czasie wojny jako młodzi lekarze, a rosyjski mojego krajana i dalekiego krewnego Stepana to skutek dziesięcioleci masowej rusyfikacji i rosyjskojęzycznej szkoły. Co prawda Łenka, gdy trochę wypije i chce podrwić z mojego językowego uporu, rozmawia ze mną po ukraińsku, a Stepan robi to wtedy, gdy jest zupełnie trzeźwy i dyskutujemy na poważne tematy. Obecna sytuacja była wręcz odwrotna).

Zamyśliłam się nad wadami i zaletami Budki.

I tak to się wszystko zaczęło, i właśnie dlatego już miesiąc później...

1. Chwojka (dial.) – sosna (wszystkie przypisy tłumaczki). [footnotenumber](#)
2. Przypieca (dial.) – przypiecek. [footnotenumber](#)
3. Kruczek (dial.) – pogrzebacz. [footnotenumber](#)
4. Zajączy chleb – małe bochenki chleba z dodatkami, np. suszonymi jagodami, jabłkiem czy słoniną, wypiekane na liściach klonowych lub kapuścianych. [footnotenumber](#)
5. Chutko (dial.) – szybko. [footnotenumber](#)
6. Uszak (dial.) – rama drzwi lub okna. [footnotenumber](#)
7. Koworot (dial.) – brama. [footnotenumber](#)
8. Nadwor a. nadwór (dial.) – podwórze. [footnotenumber](#)

Rzucaj ziarna wiadomości

...szłam po torach i recytowałam:

*Stoi góra pośród gaju,
Sama nie wiem, w jakim kraju.
Potoczyłam się jak śliweczka,
Obudziłam się jak dziewczeczka.*

Ja, pięćdziesięcioletnia, trochę ułomna Ałka Bobylowa, idę, kuśtykam, po torach z Dobratycz do Budki, po rozgrzanych letnim słońcem podkładach kolejowych, człapię między dwiema gorącymi szynami. Czuję, że szczęście się do mnie uśmiechnęło. Nasze tory położono jeszcze za cara – nawet wyglądają prawie tak samo jak wtedy i prawie tak samo jak wtedy są wykorzystywane. Rano i wieczorem toczy się po nich pociąg spalinowy relacji Brześć–Włodawa (choć do Włodawy, która została po polskiej stronie granicy, od dawna już nie kursuje, dojeżdża tylko do Tomaszówki), a koło południa elektrowóz ciągnie niewielką towarową ciuchcię. Zanim Dobratycze oznaczono na mapach skrótem *niezam.*¹, dzieci spędzające wakacje u dziadków podbiegały do torów, by pomachać pociągom – i maszyniści obowiązkowo gwizdali im na przywitanie. Na drobny żwir torów napływają fale młodych chwojek, rozchodników, polnych goździków. Pachnie żywicą z podkładów i chwoj, tymiankiem i rozgrzanym piaskiem. Zdarza się, że wiersze same cisną mi się do ust. Właśnie nadszedł taki moment. I choć nie mam się do kogo odezwać, rozmawiam sama z sobą, wygłupiam się i cieszę chwilą.

*Wstała, ręce otrzepała,
Sukienkę ubrała,*

*Usiadła na kratę –
Kupiła se chatę.*

W plastikowej torebce, owiniętej w płócienny worek schowany do małej kosmetyczki leżącej w dużej torbie, niosę 20 tysięcy dolarów gotówką. Geszefty i gestalty. Właśnie tyle kosztuje Budka, którą dzisiaj sobie kupuję. Budka – miłość moja. Pierwsza nieruchomość, którą w ciągu pięćdziesięciu lat życia nabywam dla siebie – właśnie ja, właśnie dla siebie. Bo wcześniej kupowałam dla kogoś albo ktoś dla mnie.

*Prosił kupić mu na raty
Jak nie chatę, bodaj kwiaty.
Ani kwiatów, ani chaty
Nikt nie kupił mu na raty!*

Tak czy inaczej, ziarenko wieści przyniesionych przez Zorzę nad Bugiem padło na podatny grunt.

„Budka” to lokalna nazwa domu przy kolei. Za Polski w biurokratycznym żargonie „budkami kolejowymi” nazywano typowe mieszkania służbowe dla rodzin kolejarzy – budynki, które stały tuż przy torach. Jedna taka „budka kolejowa” – nasza – znajdowała się niedaleko Dobratycz, na siedemnastym kilometrze odcinka Brześć–Włodawa. My nazywamy ją po prostu Budką. Kamienny, pobielony budynek z dwoma mieszkaniami, z zabudowaniami gospodarskimi w postaci stodoły i obory, z ławkami przed domem i starym sadem, gdzie jabłonki przypominają raczej dęby, z przybudówką, w której pozostał różnego rodzaju sprzęt kolejowy.

Kiedy byłam dzieckiem, mieszkała tu „kolejowa” Żośka i jej dzieci – Tonia i Taras. Ulanka i ja codziennie biegaliśmy do nich, codziennie też Taras i Tonia przychodzili do nas. Wiele mnie łączyło z Budką. Właśnie w Budce po raz pierwszy w życiu, w wieku siedmiu lat, skosztowałam wódki, która trzydzieści lat później doprowadziła mnie do alkoholizmu... To tu Taras uratował mi życie, broniąc przed Muchtarem. Do tej pory noszę na miękkim, mówiąc delikatnie, miejscu ślady zębów tego wilkołaka... Potem ich rodzina dokądś wyjechała... Gdzie teraz jesteście, Tarasie i Toniu?

Choć Budkę zbudowali Polacy za sanacji, to ponoć za cara, a może nawet i wcześniej, stała w tym miejscu chata, w której od wieków mieszkała rodzina niejakiej Natałki Czarnej Książki, ale nie znam szczegółów; trzeba by Oksankę wypytać.

A w ogóle to miejsce od dawien dawna nazywało się Lisi Chwost.

Chwost, chwost. Wsłuchałam się w szeleszczące słowo, kosztując jego smak. To było słowo z innej epoki, z czasów, gdy mżawka unosiła się nad niewielkim polem i rozległymi błotami, nad wąską ubitą drogą, po której jechała-dudniła drużyna jeźdźców; z czasów, gdy starzy ludzie byli zawsze mądrzejsi od młodych; z przeszłości, którą utraciliśmy – w każdym tego słowa znaczeniu; odrąbaliśmy jej głowę, podcięliśmy lisowi chwost. „Mykoło, a ty wiesz, jak te przekłete Moskale mówią na lisa? – Nie, jak? – Lisi-i-i-ca”.

No przecie. A ja jeszcze pamiętam tamte czasy – niepoturbowane.

Ale niech tam, chodźmy dalej. Nie ma do czego wracać.

*W tej norze na górze
Ostrzy lis pazury.
Przebiegł pod mostem,
Pomacha mi chwostem.
To jest lis Mykyta –
Trzykroć dupa bita.*

Teraz tu mówią po rosyjsku. W Wikipedii piszą po rosyjsku: „Lis Nikita² – fikcyjny lis z bajki Iwana Franki”... Kto tu pamięta teraz Iwana Frankę, Tarasa Szewczenkę czy Kwitkę, znaczy, Osnowjanenkę? Kto tu słyszał o ekspresywnym Sosiurze? O Stusie? O Łesi³, która mieszkała tuż obok? Nie ma ani lisa, ani chwostu, ani Lisiego Chwostu, a nawet nazwa „Budka” kończy swój żywot. Ponoć to nieistotny efekt wielkiego przesunięcia tektonicznego. Nie znamy tych, ale znamy tamtych; nie mówimy w swoim języku, ale mówimy w innym – jakie to ma znaczenie?

Tak sobie myślałam, skacząc po torach.

Do Budki miałam już blisko – już widać było domostwo. Trzeba tylko przejść przez mosteczek nad dawno wyschniętą rzeką – a stamtąd to już może z jakieś trzysta metrów. Biegłam drobnymi krokami, starając się stą-

pać po podkładach kolejowych. I nagle usłyszałam czyjś płacz – cieniutki, cichutki. Tak mógłby płakać syn Mariji Sierhuc, bohaterki powieści, którą właśnie piszę.

Zatrzymałam się. Co to? Rozejrzałam się wokoło. Żywej duszy. Jasny letni dzień, wiatr kołysze trawą. Nagle ktoś zawołał mnie po imieniu – wzdrygnęłam się i znowu rozejrzałam. Nie było nikogo. Przesłyszało mi się, pomyślałam – zdarza się, że w letni, koniecznie gorący dzień, koniecznie na pustej drodze nagle ktoś woła cię po imieniu. Mówią, że to śmierć twoja... Mój radosny, poetycki nastrój prysnął. Miałam wrażenie, że nagle tuż przy mnie coś mignęło – jakby jakiś ruch, jakiś przebłysk. Ale nie, nikogo nie było. Stałam przy samym mostku; spod niego powiało chłodem... Zrobiło mi się strasznie, ale wzięłam się w garść, zesłam na dół i zajrzałam pod mostek. Nie do końca to był mostek, raczej betonowy tunel pod torami. Kiedyś przepływała nim rzeczka, a teraz mógłby tędy przejechać, powiedzmy, samochód osobowy albo przejść wyprostowany człowiek. Ale w tej chwili tunel był zupełnie pusty, widziałam go na przestrzał. Nie było w nim nikogo ani niczego.

Cisza. Czułam, jakby kryła się w niej groźba, więc ile sił w nogach pobiegłam do Budki. Wewnętrzny głos mówił mi, że ta cała sytuacja to zły omen, że coś mnie przestrzega, by nie kupować Budki, że jeszcze mogę zrezygnować... Ale głupio mi było przed ludźmi, z którymi się umówiłam – nieładnie, tak się nie robi, wyjdę na kretynkę.

Szkoda, że nie posłuchałam wewnętrznego głosu.

Chociaż tak naprawdę niczego by to nie zmieniło – mogę to przyznać po fakcie.

No cóż, stało się, umowa kupna-sprzedaży Budki została podpisana, pieniądze z torebek wyjęte, przeliczone i przekazane wiecznie ponuremu sprzedającemu, który na tęże chwilę lekko się rozchmurzył.

Wróciłam do domu po całkiem udanym i niczym niezmaconym procesie dopełniania formalności oraz przekazywania pieniędzy byłym już właścicielom i znów zasiadłam do kompa. Ciągłe męczyło mnie słowo „chwost”. Często mi się zdarza, że jakieś całkiem obce słowo w zupełnie niezrozumiały sposób inspiruje mnie do pisania i inicjuje pozornie niezwiązane ze sobą historie.

Jeszcze pamiętano barok, winiety z tajemniczej czerni czasów jeszcze rozciągały swe faliste ogony, jeszcze przebijały mgliste wspomnienia o jezuickim teatrze barokowym w Kobryniu z żakami aktorami, gdy w Brześciu panował już równoległy i prostopadły klasycyzm rosyjski, dziwaczne wały twierdzy brzeskiej już otaczały dawny Brześć, a brzeskie damy filantropki zarzuciły noszenie turniur. Natomiast kobiety z Dywynowego zrezygnowały z podwik, gdy generałowie i koniokrady pierwszej wojny światowej ruszyli chłopów z miejsca i przepędzili do Batajska. Wyrzucenie. Oto taktyka rosyjskiej armii: zostawić Niemcom gołą i pustą ziemię. W Batajsku, pośród stepu, nad Donem, podwik już nie noszono, a może nawet nigdy ich tam nie widziano, i dywynowiczanki po prawie czterech latach również nałożyły chustki. Dworzec w Brześciu zbudowano jakieś pół wieku wcześniej i właśnie tu powracali wypędzeni dywynowiczanie w nienormalnie ciepłym lutym, a może na początku również niezwykle ciepłego marca 1919 roku. Jechali w wagonach towarowych. Ci, co mieli głowę na karku, wieźli ze sobą carskie złote czerwońce, ci bardziej niefrasobliwi – papierowe banknoty, a takie jak Sierhucowa i Panasiukowa – dzieci, które urodziły się wśród kubańskiego stepu, na żyznym czarnoziemiu, i w dodatku tego samego dnia – w święto Zwiastowania. Pierwsza na peron brzeskiego dworca zeskoczyła Domna Sierhuc. Jej koleżanka, Marfa Panasiuk, najpierw podała omotaną córkę Domny, Manię, a następnie swoje drogie zawiniątko – Pełahiję, po czym sama też wydostała się z wagonu. Po długiej trzęsącej podróży postawienie stopy na twardym gruncie było czymś niezwykłym – człowiek miał wrażenie, jakby ciągle jechał, jakby ciągle nim kołysało... Marfa odebrała swoją córkę od Domny. Młode kobiety rozejrzały się. Ogromny peron wypełniony był ludźmi... Stali tu chłopcy nie tylko z Dywynowego, ale także z innych wsi Berestejszczyzny. Mężowie Domny i Marfy pobiegli już na plac przed dworcem, by wynająć wóz z końmi, który zawiezie ich do Dywynowego. Tak naprawdę cały dobytek dwóch rodzin mógłby się zmieścić na jednym wozie, choć wtedy mężowie pewnie musieliby iść obok, ale teraz, w takiej hurmie, problematyczne mogło być znalezienie choćby jednego furmana...

Głosy ludzi, którzy przechodzili obok, stali w grupkach, śmiali się i krzyczeli, mieszały się ze sobą, rozpadały, wirowały jak maleńkie cyklony i unosiły wysoko, zapewne do Boga.

No idźże... No stójże... Zamieszanie i otepienie.

Drobny stary Marko o przydomku Trzy Siekiery zdjął czapkę i zęgnął się na cztery strony świata.

Jego stareńka sąsiadka Sawieta tuliła do piersi wiklinowe pudełko i również robiła znak krzyża. Kłaniała się i nie zwracała uwagi na nic, dopóki wnuk, chłopczyk może dziesięcioletni, w całym tym zamieszaniu nagle nie zaczął dokądś biec.

– A dokąd cię cholera niesie? – Zmiana porządku z boskiego na powszedni nastąpiła w oka mgnieniu. – Stój, dokąd to? – Po czym Sawieta chutko niczym młódka rzuciła się za chłopcem, przecinając mu drogę i łapiąc uciekiniera.

– Chwała Ci, Jezu Chryste – stara znów się modli, podczas gdy jej rodzina wyładowuje z wagonu manatki.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie, bo nikogo nie było. Wszyscy wracali. Mieli za sobą długą drogę, prawie pięć lat wymuszonego wygnania... I choć ani Domka, ani Marfa nigdy wcześniej nie były w Brześciu – gdy je wypędzono, najpierw szły pieszo, a do pociągu wsiadły dopiero w Bobrujsku, jak już oddały władzom bydło, które początkowo szło razem z ludźmi – chociaż nigdy nie były one w Brześciu, teraz, na tym peronie na tyłach stacji, gdzie wyrastały piramidy z worków, skrzyń, waliz, obie jednocześnie poczuły, że są w domu. Teraz już droga będzie lekka, teraz już wszystko będzie dobrze: przecież są w domu. Udręki przetrąconego przez wygnanie życia, egzystencja w obcym kraju, strach przed śmiercią – zbyt często dywynowiczanie chowali swoich krewnych w płytkich grobach przy drodze, zbyt często na stacjach wynosili z wagonów martwe ciała, zbyt wielu pozostało na cmentarzach Batajska – strach przed utratą pierworodnych, kolejne zmiany władzy, niepewność i to nagle poczucie, że wreszcie nadszedł kres tego wszystkiego, że wyrwana i zawieszona na kraj świata kalina znów niebawem zostanie

wetknięta we własny, własnusieńki, ogródek i znów puści korzenie – wzruszone tymi myślami młode kumy mocno się objęły i ucałowały.

– No i dojechaliśmy, kumo, a tak się baliście! – Młode kobiety, choć były rówieśnicami i koleżankami od najmłodszych lat, a jedna drugiej trzymała dziecko do chrztu, zgodnie ze zwyczajem zwracały się do siebie „wy”.

Znalazły się wozy z końmi: nie był to pierwszy eszelon z wypędzonymi, więc teraz pod dworcem przed przyjazdem pociągu ustawiali się furmani z całego Brześcia i okolic: Tryszczyna, Reczycy, Puhaczowa, Wólki...

Przybyszy czekały łąy na zarosłych młodymi chwojkowymi pędami polach, zimna pusta chata (dzięki Bogu, kozacy jej nie spalili!), pieczarki, purchawki i twardzioszki, którymi ratowali się przed głodem... Ale czyż nie przywykli do tego? Mieli ręce i mieli siły, i wrócili. Historia niosła dywynowiczian na swych falach, ale nikt o tym nie myślał. „Jeszcze mam czas!” – mawiał dziewięćdziesięcioletni kawaler Marko Trzy Siekiery, kiedy go pytano, czemu się nie żeni.

Jeszcze wszyscy mieli czas. A czas miał ich – pełnych życia.

Wrócili i puchem mościli swoje gniazdo.

1. Niezam. – skrót od niezamieszkanane. [footnotenumber](#)
2. Lis Nikita – zrusyfikowana forma imienia bohatera bajki Iwana Franki *Lis Mykyta*. [footnotenumber](#)
3. Iwan Franko (1856–1916) – ukraiński poeta, pisarz, tłumacz, działacz społeczny, uważany za jednego z największych ukraińskich przedstawicieli literatury. Hryhorij Kwitka-Osnowjanenko (1778–1843) – ukraiński prozaik, dramaturg, dziennikarz i działacz społeczny. Wołodymyr Sosiura (1898–1965) – jeden z najwybitniejszych ukraińskich poetów XX wieku. Wasyl Stus (1938–1985) – jeden z najwybitniejszych ukraińskich poetów XX wieku, przedstawiciel ukraińskiego ruchu odrodzenia narodowego. Łesia Ukrainka (1871–1913) – właśc. Łarysa Kosacz-Kwitka, jedna z najwybitniejszych ukraińskich poetek. [footnotenumber](#)

Budka

Ranek następnego dnia. Trochę popadało. Wyjęłam z torby klucze do nowego domu, wciągnęłam wilgotne powietrze i rozejrzałam się po dopiero co kupionej nieruchomości.

Ponieważ wiele przyszłych wydarzeń, ważnych nie tylko dla mnie, będzie ściśle związanych z tym miejscem, spróbuję wam opisać je najdokładniej jak potrafię, tak jak wyglądało ono wtedy, gdy weszłam w jego legalne posiadanie.

A więc, jak już wcześniej wspominałam, Budka była domem kolejarzy, zbudowanym przy samych torach. Płot przebiega może jakieś pięć metrów od nasypu. Domostwo składa się z kamiennego budynku z dwoma mieszkaniami (w każdym są po dwa pokoje z kuchnią i werandą), obór i stodoła dla obu gospodarstw, nadworu, sadu jabłkowego i ogrodu, przybudówki do przechowywania inwentarza kolejowego, no i drewnianych toalet – jak mawiał bohater starego filmu „w rodzaju wychodka oznaczonego literami «Me» i «De»” ¹. Z jednej strony budynku znajdują się tory, kilometr dalej – szosa (po naszymu – szos), do której prowadzi droga gruntowa. Naokoło pola, łąki, na horyzoncie – chwojkowy las o nazwie Semenowa Góra. W błotku za parkanem rosną żółte kaczeńce, błękitne chmury niezapominajek zalały wszystko – trudno dojść do toalety, żeby nie zdeptać.

Nadwor zarósł gęstym świeżym kędzierzawcem (nie wytrzymałam, zerwałam kilka owoców, włożyłam do ust). Obok przybudówki gęszcz srebrnego piołunu, za nim, bliżej pola – białawe badyle łobody. Związek jabłka oderwał się od drzewa i uderzył o ziemię. Z gałęzi starych jabłoni na nadworze spadały przezroczyście krople. Dom, wybielony, kamienny, prężył się i stał w milczeniu, cicho. Czekał na zmianę swego losu. Daleko za lasem wychodziło słońce, przed którym rozstępowało się perłowe gniazdo postrzępionych deszczowych chmur. Bliżej, w krzakach, szczebiotało

drobne ptactwo. „A ja! A co ja!” – rozległ się nagły gardłowy nieszczęśliwy głos i przeszły mnie dreszcze. „A ja biedna! A ja biedna!” To była turkawka w koronie jabłoni. Głośno zatrzepotała skrzydłami i poderwała się z gałązki.

„A ja! A co!” – słychać było z oddali. Obejrzałam się za głosem ptaka.

Wokół było cicho i pusto. Nie dochodził tu nawet warkot samochodów z pobliskiej szosy. Zrobiło się trochę parno; parowały krople wody; i w tej cieniutkiej parze, w ledwie widocznej mgłę na dalekim skraju łąki nagle zobaczyłam kobietę. Jej sylwetkę. Trochę dziwną sylwetkę. Było w tej postaci coś takiego, że od razu wiedziałam, iż nie jest to działkowiczka z sąsiednich dacz i nie chłopka z Pryłuku czy Stradczów. Jakiś ptaszek nad nią lata, piórkami połyskuje, a może srebrna zjawa unosi się nad jej głową? Kobieta zdawała się płynąć w wilgotnym powietrzu. Ubrana w niebieskozieloną sukienkę z długą spódnicą, która jakby płożyła się po łące. Postać musiała czegoś szukać. Od czasu do czasu pochylała się, coś podnosiła i wkładała do zawieszzonego na łokciu koszyka. Nagle zatrzymała się, obróciła głowę i chyba spojrzała w moją stronę. Chociaż cóż tam mogłam zobaczyć z takiej odległości? Coś dziwnego było w tej kobiecie... Ale co? Po chwili odwróciła się i odpłynęła w dal.

A ja z kolei weszłam do domu.

Budynek był zawilgotniały, delikatne plamy niebieskiej pleśni pięły się od dołu w stronę sufitu. Sto razy malowane deski podłogi ruszały się i skrzypiały pod stopami. Ilu znanych i nieznanymi mi ludzi chodziło po nich, tych skrzypiących deskach, przez prawie sto lat! Można tu było poszaleć z remontem, więc niecierpliwie na niego czekałam. Przerobię te dwa oddzielne mieszkania, przebiję ścianę między nimi, koniecznie doprowadzę wodę (już się umówiłam na odwiert) i zrobię kanalizację, urządzę duże pomieszczenie z dwoma wyjściami, żeby wszystko było zgodnie z *feng shui*... Cieszyłam się na zapas! Jak najprędzej się wprowadzę i do roboty!

Jednakże moje przenosiny do Budki trochę odbiegły od wymarzonej i zaplanowanej wersji. Czekałam na ten dzień z radością. Zanim zwiozłam rzeczy z pokoju w Dobratyczach, odremontowałam dużą werandę, która wychodziła na południe i na zachód, na tory. Była tam już kuchenka elektryczna, a ja postanowiłam wstawić na jakiś czas kilka mebli – łóżko, kanapę, stół, lodówkę. Tu chciałam mieszkać i stąd kierować remontem, podziwiać widoki, słuchać, jak krople deszczu uderzają o eternit, i – co naj-

ważniejsze – w czasie, gdy robotnicy będą urządzić wszystko zgodnie z moimi pomysłami, pisać powieść. Dzień przeprowadzki wyobrażałam sobie tak: oto przywożę swoje dobra do tego pierwszego w życiu kupionego przeze mnie i dla mnie domu, oto wynoszą się w cholerę tragarze, oto wychodzę na ganek, zapalam papierosa, wdycham dym, który na świeżym powietrzu pachnie szczególnie, potem nastawiam kawę – nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że będzie to chłodny poranek – potem siadam do kompa, koncentruję się i na jego ekranie zaczynają się pojawiać niebywale ważne słowa, opakowane w zachwycające wątki...

Od dawna wiem, że jeśli zbyt mocno wyobrażam sobie jakieś przyszłe wydarzenie, to rzeczywistość nigdy nie pokryje się z moją fantazją. Zawsze coś stanie na przeszkodzie. Próbuję wręcz powstrzymywać marzenia. Mówię sobie: stop, stop, wystarczy, bo nie wyjdzie! Nie raz to się potwierdziło.

Niestety szczęśliwa przeprowadzka do Budki zbyt wyraźnie pojawiała się w moich wizjach...

Kiedy tragarze zrobili swoje i odjechali, zgodnie z planem wyszłam na próg. I oczywiście zapaliłam. Nagle usłyszałam miauczenie. No proszę, mówią, że do nowego domu trzeba najpierw wpuścić kota. Może zaraz stanę się jego szczęśliwą posiadaczką – pomyślałam i się uśmiechnęłam.

I wtedy go zobaczyłam.

Szare kocię leżało przy nasypie, w miejscu, gdzie na wypłowiwały żwir wpełzają rośliny z pobocza. Zakrwawione. Miauczenie nie rozrywało duszy, więc podeszłam w stronę kota, by zobaczyć, co się z nim stało, i w miarę możliwości pomóc. Zatrzymałam się. Zamarłam, aż mnie w sercu ścisnęło: kocię miało precyzyjnie niczym brzytwą odkrojoną tylną część ciała; kiszki leżały na ziemi. Mimo to żyło, miauczało, patrzyło na mnie. Podniosło głowę, ból pewnie stał się silniejszy, więc zapiszczało, tym razem przeraźliwie, zwinęło się w konwulsjach i znów zapiszczało...

A ja... ja nie wiedziałam, co robić. Bo co można począć w takiej sytuacji? Co można zrobić, gdy codziennie rzeką wylewa się ból i krew nie tylko kocia, ale i ludzka. Zornycka – przerwałam w myślach sama sobie – zadzwonić do Zornyckiej.

– Zaraz przyjadę – krótko rzekła przyjaciółka. Posiada tę cenną zaletę, że zawsze jest w pobliżu, gdy jej potrzebuję.

Wyrzuciłam lewie zapalonego papierosa, którego cały czas zaciskałam w palcach. Co to za palenie... Miauczenie ucichło. Jak mogę pomóc kotkowi? Ile czasu tu leży? Może chce pić? Wróciłam do domu, wygrzebałam spośród gratów spodeczek i przyniosłam kocięciu zimną wodę. Leżało z zapluszczonymi oczami, przednie łapki leciutko podrygiwały. Podstawiłam spodek pod pyszczek. Podniosło głowę i zaczęło łapczywie pić, ale ulgi mu to nie przyniosło. Znow zajęczało i w konwulsjach zaczęło wić się po trawie...

Nim po dwudziestu minutach przyjechała Zornycka, kocię już zdechło. A może umarło? Tak czy inaczej, na moich oczach życie z wszystkimi jego cudami zastąpiła śmierć z wszystkimi jej tajemnicami.

Łena obejrzała ciało i wstała.

– Bez szans.

– Wybacz, że cię wyciągnęłam. Wiem, że to nie ma sensu – ratowanie jakiegoś kotka... Ale trudno przejść obojętnie obok cierpiącej istoty.

– Tak, niewątpliwie, dość głupio jest ratować kotka – zgodziła się Łena.

– I to mówi najlepszy brzeski weterynarz? – Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– W dodatku laureatka nagrody „Ajboli” – przytaknęła mi Łena. – To moja praca: ratuję zwierzęta. Moja ukochana praca. Ale widzę, że relacje między ludźmi i zwierzętami idą w złym kierunku. Nawet nie wiem, jak to wyjaśnić. Zauważyłam, że zwierzęta zastępują ludziom coś ważnego, coś, co utracili. A tak być nie powinno. Chyba że to wynika z czegoś, o czym nie wiemy... Z naszego poczucia winy...

– Zastępują coś ważnego? Ale co? I gdzie tu nasza wina?

– Nie wiem, nie jestem filozofem ani socjologiem. Oni też ci raczej na to pytanie nie odpowiedzą – mają inne zmartwienia. Ale czy wyobrażasz sobie, by twoja babcia Mokryna też tak się trzęsła nad jakimś kotkiem? Popatrzyłaby i poszła dalej. Bo miała większe zmartwienia. Robotę. Życie, o które trzeba było walczyć. Dzieci. A dziś ludzie ani nie pracują, ani nie walczą, tylko robią pedikiur jamnikowi i fryzurę kotu... Wcześniej zwierzęta służyły ludziom, a dzisiaj ludzie służą zwierzętom. A to grzech, jak by powiedział mój znajomy prezbiter kościoła baptystów. Może nie? – Spojrzała na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź, ale co ja tam mogłam odpowiedzieć?

– Hm, dobrze, zgadzam się – przytaknęłam – babcię Mokryną rzeczywiście trudno nazwać kocią mamą. Ale też w jej czasach koty nie wpadały pod pociągi. Naprawdę nie wiem, czy przeszłaby obojętnie obok takiego...

Łenka przeciągnęła ręką po wyjątkowo pochmurnej, zmęczonej twarzy i znów pochyliła się nad okaleczonym szarym trupkiem; tłuste czarne muchy już się do niego zleciały, brzęczały; Łenka wzięła w ręce zakrwawione ciało.

– To kocię nie trafiło pod pociąg.

– To co je tak...?

– Nie wiem. Nie wiem, kto, po co i w jaki sposób odciął mu tylną część ciała, ale to nie był pociąg. Popatrz, jakie gładkie cięcie, jakby... jakby wykonano je piłą tarczową...

Łena odwróciła kocię, żebym lepiej zobaczyła.

Cięcie rzeczywiście było idealnie gładkie, jakby zrobione na przykład taką specjalną maszynką, którą w sklepach kroją szynkę.

– A najgorsze i najmniej dla mnie pojęte – kontynuowała Łenka – jest to, że nie po raz pierwszy widzę coś takiego. Koty. Kocięta. W dodatku daleko od torów. Przecięte tak samo jak ten.

Spojrzałam na Ołenę.

– Że co?

– To, co słyszysz. Nie wiem, co to może być. Ale bardzo mi się nie podoba. – Łena przez chwilę pomilczała. – Mam niedobre przeczucia. Dziwnie mi jakoś. Od czasu do czasu miewam napady paniki. Nawet nie od czasu do czasu, tylko w konkretnych miejscach...

Zaniepokoiłam się. Napady paniki? To było zupełnie niepodobne do Łenki. Moja przyjaciółka jest osobą zrównoważoną, oazą spokoju i wzorem racjonalności. Przypomniałam sobie, że mnie też ścisnęło w mostku – pamiętacie, tego dnia, gdy skakałam z pieniędzmi po torach do Budki.

– OK, zakopmy nieszczęśnika – Łenka przerwała moje myśli. – Spieszę się, muszę lecieć do roboty... Masz coś czy przynieść łopatę z samochodu?

Zakopałyśmy kocię tam, gdzie je znalazłyśmy. Łenka od razu odjechała do swoich niekończących się spraw, a ja wreszcie usiadłam na ławce pod jabłonką i zapaliłam.

Paląc na ławce pod jabłonką, uświadomiłam sobie, że mam bardzo kiepską pamięć, co mnie nawet ucieszyło. Liczyłam na to, że widok umierającego kocięcia, który ciągle stał mi przed oczami, chutko zblaknie. Przynaj-

mniej przez noc zdążę zapomnieć. Kiepska pamięć jednak w tym przypadku mnie zawiodła, nie spełniła moich oczekiwań. Nie udało mi się zapomnieć tego widoku ani następnego dnia, ani jeszcze kolejnego.

Niemniej praca nad powieścią posuwała się do przodu, choć nie tak, jak bym chciała.

W dzień ukośne promienie słońca przecinały izbę; małe pyłki, drobinki siana tańczyły w nich walca, na szerokich deskach kładły się słoneczne odbicia okien. Ale wieczorem, kiedy słońce chowało się za dalekim lasem i wieczorną zorzę długiego letniego dnia zastępowała jasna i krótka noc, promienie do izby nie docierały i świeciły się tylko twarze młodzieży; światło biło z oczu dziewczyn i chłopców, którzy tańczyli nie tylko walca. Światło wylewało się również ze skrzypek muzykanta, czasem stawało się jaśniejsze, odbijając się od gładkich szerokich czół, od dużych, szukających się wzajemnie rąk, od twardych dziewczęcych łydek. Nikt nie siedział na ławach, gdy izbę wypełniały dźwięki muzyki, a w ogromnych oknach dogorywała wieczorna zorza... Błyskały pięty tancerzy: bose u tych, którzy lubili ziemię, w butach u tych, których ojciec je miał. Marija Sierhuc i jej koleżanka Pełażka Panasiuk świeciły się inaczej. Marija – na niebiesko, złoto, postukując obcasikiem. W świetle wirującym wokół bosej Pełażki złoto i błękit zlały się w zielony snop, a zielone, trawiaste pobłyski światła zataczały kręgi także naokoło jej chłopca, Stepana...

Złote, niebieskie, czerwone promienie życia.

Trzymając nad głową prawą rękę Mariji w swej lewej, zmieniając je, obracając Mariję wokół siebie w złożonym tańcu, Iwan nachylił się do niej i wyszeptał:

– Nieba ci uchylę!

Złote, niebieskie promienie ich twarzy – Mariji Sierhuc i Iwana Dubniaka.

Marija podniosła oczy, błysnęła uśmiechem.

Po co mi twoje niebo? – pomyślała.

Daleko na horyzoncie błysnęły gwiazdy, gdzieś przechodziła niesłychalna burza. Marija Sierhuc pomyślała, że nie potrzebuje uchylonego nieba.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

1. Cytat z radzieckiej komedii *Brylantowa ręka* w reż. Leonida Gajdaji z 1969 r. [footnotenumber](#)

Tytuł oryginału: *Bodaj Budka*

Copyright © 2020 Natałka Babina
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2020

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografie na okładce

© Mykola Mazuryk/Shutterstock

© Matteo Fes/Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Bodaj Budka*, wyd. I, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-769-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**